

Milowan Dżilas

# Rozmowy ze Stalinem

Następnego dnia ruszyliśmy w drogę przez ukraińskie wiosenne roztopy śladami zwycięskiej Czerwonej Armii. Zniszczony, rozbity w drzazgi sprzęt niemiecki, który tak często napotykaliliśmy, był dodatkową ilustracją sprawności i siły Czerwonej Armii, a już najbardziej podziwialiśmy krzepkość i samozaparcie żołnierza rosyjskiego, który potrafił całymi dniami i tygodniami stać po pas w błocie, bez chleba i bez snu, pod huraganem ognia i stali rozpaczliwych ataków niemieckich.

Nawet po otrząśnięciu się ze stronniczego, dogmatycznego i romantycznego entuzjazmu, oceniam wysoko — dziś tak samo jak wtedy — zalety Czerwonej Armii, a zwłaszcza jej rosyjskiego trzonu. To prawda, że sowieckie kadry dowódcze, a w jeszcze większym stopniu żołnierze i podoficerowie, otrzymują jednostronne wychowanie polityczne, lecz pod każdym innym względem rozwijają oni inicjatywę wraz z pierwotnymi kulturą. Dyscyplina jest surowa i bezsporna, jednak nie bezmyślna, lecz zharmonizowana z głównymi celami i zadaniami. Oficerowie sowieccy są nie tylko bardzo sprawni technicznie, ale też tworzą najbardziej utalentowaną i najodważniejszą część inteligencji sowieckiej. Chociaż opłacani są stosunkowo dobrze, nie stanowią zamkniętej kasty i mimo, że nie wymaga się od nich zbyt wielkiej znajomości marksistowskiej doktryny, to jednak tym więcej wymaga się od nich odwagi i nieustępliwości w boju — na przykład ośrodek dowódcy korpusu w Jassach był o trzy kilometry od niemieckich linii. Stalin przeprowadził radykalne czystki, zwłaszcza w sferach wyższych dowódców. Jednakże przyniosły one mniej szkody niż się to czasem sądzi, gdyż nie wahał się on jednocześnie awansować młodych i utalentowanych żołnierzy; każdy oficer, wierny jemu i jego dążeniom, wiedział, że może liczyć na zaspokojenie swych ambicji. Szybkość i zdecydowanie, z jakimi pośród działań wojennych przeobrażał naczelnie dowództwo, potwierdziły jego „umiejętność” przystosowywania się i gotowość otwarcia kariery ludziom utalentowanym. Działał jednocześnie w dwóch kierunkach: wprowadził do armii bezwzględne posłuszeństwo wobec rządu, partii i swej osoby, nie szczędził też niczego, by osiągnąć gotowość militarną, wyższy poziom życia armii i szybkie awanse dla najlepszych.

W Czerwonej Armii posłyszałem po raz pierwszy od pewnego dowódcy armii śmiałą, choć obcą mi podówczas myśl. Wojny — wnioskował on — osiągną swój zwycięstwowy zawzięty charakter, gdyż już komunizm zatriumfuje na całym świecie. Wedle marksistowskich teorii — które dowódcy sowieccy znali równie dobrze jak ja — wojny są wyłącznie produktem walki klas, skoro zaś komunizm zniesie klasy, zniknie też konieczność prowadzenia wojen. Lecz generał ów i wielu rosyjskich żołnierzy — a podobnie i ja sam — w toku najgorszej bitwy, w jakiej kiedykolwiek brałem udział, pojęliśmy także i inne prawdy wynikające z okropności wojny, że walki między ludźmi nabędą cech skrajnej zawziętości dopiero, gdy wszyscy ludzie będą podporządkowani temu samemu systemowi społecznemu, albowiem system taki będzie nie do utrzymania i różne sekty postawią sobie za cel bezwzględne zniszczenie rodzaju ludzkiego w imię jego większej „szczęśliwości”. Wśród owych oficerów sowieckich, wyszkolonych w marksizmie, myśl ta była przypadkowa i uboczna. Lecz ja o niej nie zapominałem, nie uważałem też jej wtedy za przypadkową. Jeśli nawet do ich świadomości nie dotarło, iż społeczeństwo, które bronili, nie jest wolne od głębokich i antagonistycznych różnic, to jednak podświadomie dostrzegali, że chociaż człowiek nie może żyć poza uporządkowanym społeczeństwem i bez uporządkowanych idei, tym niemniej życie jego podlega także innym przemożnym siłom.

Przyzwyczailiśmy się w Związku Sowieckim do najróżniejszych rzeczy. Tym niemniej, jako dzieci partii i rewolucji, które nabyły wiarę w siebie i wiarę w lud drogą ascetycznej czystości, musieliśmy doznać wstrząsu na popijawie, urządzonej dla nas, w przeddzień naszego wyjazdu na front, na kwaterze marszałka Koniewa, w jakiejś besarabskiej wiosce.

Dziewczęta, zbyt urodziwe i zbyt ekstrawagancko wymalowane, by mogły być kelnerkami, wniosły ogromne ilości najwyszukańszych wiktuałów — kawior, wędzone lososie i pstrągi, świeże ogórki i marynowane bakłażany, gotowaną szynkę wędzoną, pieczone prosiąta na zimno, gorące pierogi z mięsem i pikantne sery, soczyste befsztyki, a wreszcie półmetrowej wysokości ciasta i półmiski z owocami południowymi, pod którymi ugiwały się stoły.

Już poprzednio było widoczne, że oficerowie sowieccy szykują się na ucztę. Wszyscy przybyli nastawieni na obżarstwo i pijaństwo. Jugosłowianie jednak szli jak na wielką próbę; musieli pić, pomimo faktu, że nie zgadzało się to z ich „komunistyczną moralnością”, to jest z obyczajami ich armii i partii. Zachowali się jednak świetnie, zwłaszcza jeśli zważyć, że nie byli przyzwyczajeni do alkoholu. Nakładem wielkiej siły woli i sumienności uniknęli wielu toastów „do samego dna” i nie wylądowali w końcu pod stołem.

Pilem mało i ostrożnie, wymawiając się bólem głowy, który mi rzeczywiście podówczas dokuczał. Nasz generał Terzicz wyglądał tragicznie. Musiał pić chociaż nie chciał, nie umiał bowiem odmówić rosyjskiemu koledze, który wznosił toast na cześć Stalina w sekundę po wypiciu na cześć Tity.

Eskortujący nas oficer wyglądał jeszcze tragiczniej. Był to pułkownik sowieckie-go sztabu generalnego, a że był „z tyłów”, więc marszałek i jego generałowie dali mu szkołę, wyzyskując w pełni swe wyższe rangi. Marszałek Koniew nie zwracał uwagi na to, że pułkownik był słabego zdrowia: wrócił do pracy w sztabie generalnym po odniesieniu rany na froncie. Po prostu rozkazał: „Pułkowniku, wypij sto gramów wódki za pomyślność drugiego frontu ukraińskiego!”. Zapadło milczenie. Wszyscy zwrócili się w stronę pułkownika. Chciałem się za nim wstawić, lecz on wstał, stanął na baczność i wypił. Wkrótce na jego bladym, wysokim czole pojawiły się krople potu. Nie wszyscy jednak pili: ci, co byli na służbie i utrzymywali łączność z frontem, nie pili. Nie pił też sztab na froncie, chyba w chwilach całkowitej przerwy w działaniach. Podobno w czasie kampanii fińskiej Żdanow zaproponował Stalinowi, by wyraził zgodę na wydawanie stu gramów wódki dziennie na głowę. Od tego czasu zwyczaj ten pozostał w Czerwonej Armii z tym, że przed atakiem porcja była podwójna: „Żołnierze czują się bardziej odprężeni!” tłumaczono nam.

Marszałek Koniew też nie pił. Nie miał nad sobą żadnego przełożonego, który by mu dawał rozkazy; ponadto lekarze zabronili mu pić ze względu na chorą wątrobę. Był to wysoki blondyn, pięćdziesięcioletni, o bardzo energicznej kościstej twarzy. Chociaż zachęcał do obżarstwa — trzymał się bowiem oficjalnej „filozofii”, że „żołnierze muszą się co jakiś czas rozerwać” — sam nie brał w tym udziału, panował zarówno nad sobą jak i nad swymi wojskami na froncie.

Pisarz Borys Polewoj towarzyszył nam na front jako korespondent *Prawdy*. Entuzjazmował się on zbyt łatwo bohaterstwem i cnotami swego kraju. Opowiedział nam anegdotę o nadludzkiej przytomności umysłu i odwadze Koniewa. Znalazłszy się na wysuniętej placówce pod ogniem moździerzy niemieckich, Koniew udawał, że patrzy przez lornetę, a w rzeczywistości obserwował spod oka zachowanie się swych oficerów. Każdy z nich wiedział, że byłby z miejsca zdegradowany, gdyby okazał jakiegokolwiek wahanie i nikt nie ośmielił się zwrócić mu uwagi na niebezpieczeństwo, zagrażające jego własnemu życiu. Czas płynął, padali zabici i ranni, ale on opuścił placówkę dopiero po dokonaniu inspekcji. Przy innej okazji odłamek szrapnela ranił go w nogę. Zdjęto mu but i założono opatrunek, lecz z posterunku nie zszedł.

Koniew był jednym z nowych stalinowskich dowódców czasu wojny. Był on w mniejszym stopniu niż Rokossowski przykładem szybkiego awansu, gdyż jego kariera nie była ani tak nagła ani tak burzliwa, jak tego ostatniego. Jako młody robotnik wstąpił do Czerwonej Armii tuż po rewolucji i stopniowo awansował, stopień po stopniu i szkoła po szkole. Jednak i on zrobił karierę dopiero na polu bitwy, co było typowe dla Czerwonej Armii pod kierownictwem Stalina w drugiej wojnie światowej.

Na ogół milczący, Koniew w kilku słowach wyjaśnił mi przebieg bitwy pod Korsuniem Szewczenkowskim, która właśnie dobiegła końca i którą porównywano w Związku Sowieckim z bitwą stalingradzką. Nie bez radości, naszkicował mi obraz ostatecznej katastrofy niemieckiej; jakieś osiemdziesiąt, jeśli nie sto tysięcy Niemców

odmawiających poddania się, zostało zagnanych w wąską przestrzeń, potem czołgi strzaskały im ciężki sprzęt i gniazda karabinów maszynowych, a wreszcie kozacka konnica wykończyła ich do reszty. „Pozwoliłimy kozakom rąbać jak długo chcieli. Scinali ręce nawet tym, co je podnosili na znak poddania się” — opowiadał marszałek z uśmiechem.

Muszę przyznać, że w owej chwili i ja także cieszyłem się z losu, jaki spotkał Niemców. Przecież i mojemu krajowi hitleryzm, w imię wyższej rasy, przyniósł wojnę pozbawioną wszelkich ludzkich względów. Ale jednak odczuwałem także i przerażenie, że tak być musiało, że nie mogło być inaczej.

Siedząc po prawicy tej niezwyklej osobistości, zapragnąłem wyjaśnić pewne szczególnie interesujące mnie kwestie. Przede wszystkim: Dlaczego Woroszyłow, Budienny i inni wysocy dowódcy, z którymi Związek Sowiecki wszedł do wojny, zostali usunięci ze swych kierowniczych stanowisk?

Koniew odpowiedział: — Woroszyłow jest człowiekiem niewyczerpanej odwagi, lecz — był niezdolny do zrozumienia nowoczesnej wojny. Jego zasługi są niepomierne, lecz — w wojnie trzeba zwyciężyć. W czasie wojny domowej, w której Woroszyłow zabłysnął, Czerwona Armia, w praktyce nie miała przeciw sobie ani samolotów ani czołgów, natomiast w tej wojnie właśnie te maszyny odgrywały główną rolę. Budienny nigdy dużo nie umiał i nigdy niczego się nie uczył. Okazał się zupełnie niekompetentny i pozwalał popełniać okropne błędy. Szaposznikow był i pozostaje technicznym oficerem sztabowym.

— A Stalin? — zapytałem.

Starając się nie okazywać zdziwienia, że postawiłem takie pytanie, Koniew odpowiedział po chwili namysłu: — Stalin jest wszechstronnie utalentowany. Potrafi świetnie widzieć wojnę jako całość i to pozwala mu nadawać jej pomyślny kierunek.

Nie powiedział nic więcej, nic co mogłoby brzmieć jak stereotypowa gloryfikacja Stalina. Pomiął milczeniem czysto wojskową stronę stalinowskiego przywództwa. Koniew był starym komunistą, bez reszty oddanym rządowi i partii, lecz niewątpliwie miał ustalone poglądy na sprawy wojskowe.

Koniew wręczył nam podarunki: dla Tity swoją własną lornetkę, a dla nas, pistolety. Przechowywałem swój, dopóki mi go nie skonfiskowały wadze jugosłowiańskie w czasie aresztowania w roku 1956.

Front obfitował w przykłady osobistego bohaterstwa oraz nieustępliwej zawziętości i inicjatywy prostych żołnierzy. Cała Rosja żyła wolą oporu do ostatniego tchu, wyrzeczeniem i dążeniem do ostatecznego zwycięstwa. W owych dniach Moskwa i my z nią razem zatracaliśmy się po dziecinnemu w salwach witających zwycięstwa, spoza których wзираły pożogi i śmierć, a także gorycz. Niosły one bowiem radość również i jugosłowiańskim bojownikom, uginającym się pod brzemieniem nieszczęść swego kraju. Wydawało się, że nic innego nie istnieje w Związku Sowieckim prócz gigantycznego, wszechogarniającego wysiłku tego bezkresnego kraju i wielomilionowego narodu. I ja także tylko ten naród widziałem; ślepo utożsamiałem patriotyzm narodu rosyjskiego z sowieckim ustrojem, który był mym marzeniem i mą walką.

5.

Gdzieś około piętej po południu skończyłem swój wykład w Komitecie Wszechsłowiańskim i zacząłem odpowiadać na pytania, gdy ktoś szeptem nakazał mi natychmiast skończyć z uwagi na ważną i pilną sprawę. Nie tylko my, Jugosłowianie, ale i dygnitarze sowieccy nadali temu odczytowi większe niż zazwyczaj znaczenie. Zastępcą Mołotowa, A. Łozowski, przedstawił mnie wybranemu audytorium. Najwidoczniej problem jugosłowiański zaogniał się coraz bardziej między sprzymierzeńcami.

Usprawiedliwiłem się, a raczej mnie usprawiedliwiano, po czym wyprowadzono mnie na ulicę i wsadzono razem z generałem Terziczem do dziwnego i niebzyt eleganckiego samochodu. Dopiero w drodze, nieznanemu pułkownik z Bezpieczeństwa powiadomił nas, że mamy być przyjęci przez Józefa Wisarionowicza Stalina. W owym czasie nasza misja wojskowa przeniesiona została do willi w Serebrennym Borze, na przedmieście Moskwy. Pamiętając o darach dla Stalina, martwiłem się, że jeśli pojedziemy po nie tak daleko, spóźnimy się. Lecz niezawodne Bezpieczeństwo pomyślało i o tym; podarki leżały w wozie obok pułkownika. Wszystko tedy było

w porządku, nawet nasze mundury. Od jakichś dziesięciu dni mieliśmy nowe mundury, wykonane w sowieckiej fabryce. Należało więc tylko zachować spokój, słuchać co mówił pułkownik i stawiać mu jak najmniej pytań.

Cóż bardziej podniecającego mogło spotkać komunistę — i to przybywającego z ognia waki i rewolucji? Zostać przyjętym przez Stalina — było największym uznaniem dla bohaterstwa i cierpienia naszych partyzanckich bojowców i naszego narodu. W lochach więziennych i na pobożowiskach, w niemniej gwałtownych kryzysach duchowych i starciach z wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami komunizmu Stalin był czymś więcej, jak przywódcą w boju. Był wcieleniem idei, przeobrażał się w umysłach komunistów w czystą ideę, a tym samym w coś nieomylnego i nieskalanego. Stalin był zwycięską bitwą dnia dzisiejszego i braterstwem ludzkim jutra. Zdawałem sobie sprawę, że przez przypadek byłem pierwszym jugosłowiańskim komunistą, którego miał przyjąć. Rozsadzała mnie radosna дума, że będę mógł opowiadać o tym spotkaniu moim towarzyszom i walczącym żołnierzom jugosłowiańskim.

Od razu znikło wszystko, co wydawało mi się w Związku Sowieckim niemiłe. Wszelkie nieporozumienia pomiędzy nami a przywódcami sowieckimi straciły na znaczeniu i wadze, jak gdyby ich nigdy nie było. Wszelkie co nieprzyjemne ulotniło się wobec wzruszającego ogromu i piękna tego, co mnie spotykało. Jakież znaczenie miał mój osobisty los wobec wielkości toczącej się walki i jakie znaczenie miały nasze nieporozumienia wobec oczywistej nieuchronności urzeczywistnienia naszej idei?

Czytelnik winien wiedzieć, że w owym czasie wierzyłem, iż trockiści, bucharinowcy i inni opozycjoniści w łonie partii byli naprawdę szpiegami i sabotażystami i że tym samym usprawiedliwione były wszelkie drastyczne kroki, podjęte przeciw nim i wszystkim innym tak zwanym wrogom klasowym. Gdy zauważyłem, że ci, co byli w ZSSR w okresie czystki w połowie trzeciego dziesięciolecia, pomijali pewne rzeczy milczeniem, sądziłem, że chodzi o sprawy bez znaczenia i przesadzone: trzeba było skrwawić zdrową tkankę, by pozbyć się chorej, jak to niegdyś sformułował Dimitrow w rozmowie z Titą. Patrzyłem więc na wszystkie okrucieństwa popełnione przez Stalina dokładnie tak, jak je malowała propaganda — jako na nieuniknione pociągnięcia rewolucyjne, wzmacniające tylko jego postawę i jego historyczną rolę. Jeszcze i dzisiaj nie potrafię powiedzieć, co uczyniłbym, gdybym znał prawdę o procesach i czystkach. Na pewno przeżyłbym poważny kryzys, ale nie jest wykluczone, że pozostałbym w dalszym ciągu komunistą, wyznawcą komunizmu doskonałego niż istniejący. Jeśli bowiem chodzi o komunizm jako ideę, nie to jest istotne, co się robi, ale dla czego się robi. Ponadto była to ideologia najbardziej racjonalna i najbardziej upajająca, ideologia wszechogarniająca dla mnie i dla tych wszystkich w tym rozdartym i zrozpaczonej kraju, którzy tak pragnęli przeskoczyć stulecia niewoli i zacofania i przegonić samą rzeczywistość.

Nie miałem czasu na dłuższe rozmyślanie, gdyż wóz wkrótce stanął u bram Kremia. Zaraz zajął się nami inny oficer. Jechaliśmy przez zimne i czyste dziedzińce, na których nie było żadnego śladu życia, prócz małych bezlistnych drzewek. Oficer zwrócił naszą uwagę na Car-Puszkę i Car-Kołakoł — te absurdałne symbole Rosji z armaty nigdy nie strzelano, w dzwon nigdy nie bito. Po lewej stronie stała monumentalna dzwonnica, Iwana Groźnego, potem szereg starych armat. Wkrótce znaleźliśmy się na przeciw wejścia do niskiego i długiego gmachu, takiego, jakie budowano na urzędy i szpitale w połowie dziewiętnastego stulecia. Tu znowu oczekiwał nas oficer, który wprowadził nas do środka. U wejścia na schody zdjęliśmy płaszcze, przyczesaliśmy się przed lustrem, po czym wprowadzono nas do windy, z której na drugim piętrze weszliśmy do długiego korytarza, wyścielonego czerwonym dywanem.

Na każdym zakręcie jakiś oficer salutował nas z głośnym stuknięciem obcasów. Wszyscy oni byli młodzi, przystojni i sztywni, w niebieskich czapkach Bezpieczeństwa. Zarówno teraz jak i za każdym następnym razem zdumiewała nas czystość tak doskonała, że wydawało się niemożliwe, by pracowali tu i mieszkali ludzie. Najmniejszej skazy na dywanach, najmniejszej plamki na wypolerowanych klamkach u drzwi.

Wprowadzono nas do małego biura, gdzie czekał już generał Żukow. Niski, tusty i ospowaty stary urzędnik poprosił abyśmy usiedli, sam zaś powoli podniósł się zza stołu i wszedł do sąsiedniego pokoju.

Wszystko działo się ze zdumiewającą szybkością. Urzędnik powrócił wkrótce i powiadomił nas, że możemy wejść. Myślałem, że będę musiał przejść przez dwa lub trzy pokoje, zanim dostanę się do Stalina, lecz gdy tylko otwarłem drzwi i przekroczyłem próg, ujrzałem go wychodzącego z małego sąsiedniego pokoju, przez którego otwarte drzwi widać było ogromny globus. Był tam też Mołotow. Tęgi i blady, w doskonałym granatowym ubraniu europejskiego kroju, stał za długim stołem konferencyjnym.

Stalin spotkał nas na środku pokoju. Podszedłem do niego pierwszy i przedstawiłem się. Potem Terzicz uczynił to samo, recytując wojskowym tonem cały swój tytuł i stukając obcasami, na co nasz gospodarz — to było niemal komiczne — odpowiedział: „Stalin”.

Uściskaliśmy też sobie ręce z Mołotowem i usiedliśmy za stołem w ten sposób, że Stalin usiadł w górze stołu, Mołotow był po jego prawicy, podczas gdy Terzicz, generał Żukow i ja siedzieliśmy po lewicy.

Pokój nie był duży, raczej długi i pozbawiony wszelkiego luksusu lub ozdób. Nad niezbyt dużym biurkiem w kącie wisiała fotografia Lenina, a na ścianie nad stołem konferencyjnym, w jenakowych rzeźbionych ramach drewnianych, portrety Soworowo i Kutuzowa, zupełnie przypominające prowincjonalne oleodruki.

Lecz najprostszy wśród tego wszystkiego był gospodarz. Stalin był w mundurze marszałka i w miękkich butach z cholewami, bez żadnych medali z wyjątkiem złotej gwiazdy — orderu Bohatera Związku Sowieckiego, na lewej piersi. W jego postawie nie było nic sztucznego, żadnej pozy. Nie był to ów majestatyczny Stalin z fotografii lub z kroniki filmowej — o sztywnych, obmyślonych ruchach i postawie. Ani przez chwilę nie zachował spokoju. Bawił się fajką z białą centką, angielskiej firmy Dunhill, lub křeślił niebieskim ołówkiem koła wokół słów, oznaczających główne tematy dyskusji i w miarę, jak poszczególne części dyskusji dobiegały końca, przekreślał je skośnymi liniami; nieustannie zwracał głowę to w tę to w tamtą stronę, kręcąc się przy tym na krześle.

Byłem zaskoczony: Stalin był bardzo niskiego wzrostu i źle zbudowany. Tułów miał krótki i wąski, natomiast nogi i ręce długie. Jego lewe ramię i bark wydawały się jakby sztywne. Miał bardzo duży brzuch i rzadkie włosy, chociaż nie był kompletnie łysy. Twarz miał białą, o rumianych policzkach. Później dowiedziałem się, że ten kolor, tak znamieny dla tych co przesiadują długo w biurach, znany był w wysokich kołach sowieckich jako „kremłowska cera”. Zęby miał czarne i nierówne, zwrócone do wewnątrz. Nawet wąż jego nie był gęsty i mocny. Mimo to głowę miał niezłą; z tymi żółtymi oczyma i mieszaniną powagi i szelmstwa miała w sobie coś z ludu, z chłopstwa, z ojca rodziny.

Zdumiał mnie także jego akcent. Można było od razu poznać, że nie był Rosjaninem, tym niemniej miał bogate słownictwo rosyjskie, jego sposób wyrażania był żywy i plastyczny, przeplatany rosyjskimi przysłówkami i powiedzeniami. Później doszedłem do przekonania, że Stalin znał dobrze literaturę rosyjską — chociaż tylko rosyjską — zaś jedyną prawdziwą wiedzę o świecie poza granicami Rosji posiadał w zakresie historii politycznej.

Jedno mnie nie zdziwiło: Stalin miał poczucie humoru — humoru nieokrzesanego, nacechowanego pewnością siebie, ale nie pozbawionego całkowicie subtelności i głębi. Reakcje jego były szybkie, bystre — i ostateczne, co nie znaczy, że nie słyszał swego rozmówcy, lecz oczywiste było że nie lubi długich wyjaśnień. Szczególny był też jego stosunek do Mołotowa. Najwidoczniej uważał go za bardzo bliskiego przyjaciela, o czym mogłem się później przekonać: Mołotow był jedynym członkiem Politbiura, do którego Stalin zwracał się poufałym ty, co samo w sobie jest znamienne, jeśli zważyć, że u Rosjan forma wy jest normalna nawet wśród bardzo bliskich przyjaciół.

Rozmowę rozpoczął Stalin, zapytując nas o nasze wrażenia ze Związku Sowieckiego. Odpowiedziałem: „Jesteśmy zachwyceni!” — na co odparł: Ale my nie jesteśmy zachwyceni chociaż robimy co możemy, by polepszyć stan rzeczy w Rosji.

Wyrło mi się w pamięci, że Stalin posługiwał się terminem *Rosja*, a nie Związek Sowiecki, co znaczyło, że nie tylko podsycił nacjonalizm rosyjski, ale i sam się nim przejmował i utożsamiał się z nim.

Nie miałem jednak wtedy czasu na zastanawianie się nad takimi rzeczami, gdyż Stalin przeszedł do stosunków z jugosłowiańskim rządem emigracyjnym, zwracając się do Mołotowa ze słowami: „Czy nie moglibyśmy jakoś nabrać Anglików na uznanie Tity, który sam jeden walczy z Niemcami?”

Mołotow uśmiechnął się — uśmiechem, w którym była ironia i zadowolenie z siebie: „Nie, to jest niemożliwe; oni zdają sobie doskonale sprawę z rozwoju wydarzeń w Jugosławii”.

Byłem zachwycony tym bezpośrednim, trafiającym w sedno rzeczy stylem postępowania, z którym do tej pory nie spotkałem się w oficjalnych kołach sowieckich, a szczególnie w sowieckiej propagandzie. Czułem, że byłem we właściwym miejscu, co więcej, z człowiekiem traktującym realia w familiarny, otwarty sposób. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że Stalin był taki tylko wśród swoich własnych ludzi, to jest wśród oddanych mu i popierających jego linię komunistów.

Chociaż Stalin nie przyrzekał uznać Komitetu Narodowego za tymczasowy rząd jugosłowiański, widoczne było że zainteresował się jego zatwierdzeniem. Zarówno dyskusja jak i jego postawa były takie, że nawet nie podniosłem wprost tej kwestii; widoczne było, iż rząd sowiecki uczyni to natychmiast, gdy tylko uzna warunki za dojrzałe i jeśli rozwój wydarzeń nie przybierze odmiennego obrotu — przez chwilowy kompromis pomiędzy W. Brytanią a ZSSR, a z kolei także pomiędzy Komitetem Narodowym a królewskim rządem jugosłowiańskim.

Tym samym kwestia pozostała niezałatwiona. Trzeba było czekać na rozwiązanie i wypracować je. Stalin jednak wyrównał to, ustosunkowując się znacznie bardziej pozytywnie do kwestii udzielenia pomocy wojskom jugosłowiańskim.

Gdy poprosiłem o dwieście tysięcy dolarów tytułem pożyczki, nazwał to bagatelą, mówiąc niewiele będziemy mogli zrobić z taką kwotą, że jednak zostanie nam ona przyznana bezzwłocznie. Gdy dodałem, że po oswobodzeniu spłacimy pożyczkę a tak samo wszystkie dostawy broni i innego sprzętu, rozłościł się szczerze: — Obrażacie mnie. Przelewacie krew i myślicie, że wystawię wam rachunek za broń! Nie jestem handlarzem, nie jesteśmy handlarzami. Walczycie za tę samą sprawę co my. Mamy obowiązek dzielić się z wami wszystkim, co tylko mamy.

Lecz jak może być dostarczona ta pomoc?

Postanowiono poprosić szrymierzęńców zachodnich o zgodę na założenie sowieckiej bazy lotniczej we Włoszech która pomagałaby partyzantom jugosłowiańskim. — Spróbujmy — powiedział Stalin. Zobaczymy, jakie stanowisko zajmie Zachód i o ile gotów jest pomagać Ticie.

Winienem zaznaczyć, że taka baza — złożona z dieścieciu samolotów transportowych, o ile dobrze pamiętam — została wkrótce założona.

— Lecz niewiele możemy wam pomóc samolotami — mówił Stalin w dalszym ciągu. — Armii nie da się zaopatrzyć samolotem, a wy jesteście już armią. Trzeba po temu statków. A my nie mamy statków. Nasza flota czarnomorska jest zniszczona.

General Żukow wtrącił się: — Mammy statki na Dalekim Wschodzie. Moglibyśmy przenieść je do naszego portu na Morzu Czarnym i załadować na nie broń i co tylko trzeba.

Stalin przerwał mu brutalnie i kategorycznie. Z powściągliwej i niemal dobrodusznej osoby nagle wyłonił się inny Stalin. — Co sobie wyobrażacie? Czy macie wszystkie klepki w porządku? Na Dalekim Wschodzie toczy się wojna. Ktoś na pewno nie przegapi sposobności zatopienia tych statków. Oczywiście! Statki trzeba nabyć. Ale od kogo? Statków teraz brak. Turcja? Turcy nie mają wielu statków i w żadnym razie nam ich nie sprzedadzą. Egipt? Tak, moglibyśmy nabyć kilka statków od Egiptu. Egipt sprzeda — Egipt ma wszystko na sprzedaż, więc na pewno sprzeda nam statki.

Tak, to był prawdziwy, nie dobierający słów Stalin. Byłem przyzwyczajony do tego w mej własnej partii i sam lubowałem się w tym sposobie bycia, gdy nadchodziła pora powzięcia ostatecznej decyzji.

General Żukow szybko i w milczeniu notował decyzje Stalina. Nabycie statków i zaopatrzenie Jugosłowian drogą morską przez sowieckie statki niegdy nie doszło

do skutku. Głównym tego powodem był rozwój operacji na froncie wschodnim — Czerwona Armia wkrótce dotarła do granicy Jugosławii i tym samym mogła już jej nieść pomoc drogą lądową. Podtrzymuję, że w owym czasie Stalin miał stanowczy zamiar dopomagania nam.

Taka była główna treść rozmowy.

Mimochodem Stalin zainteresował się moją opinią o poszczególnych politykach jugosłowiańskich. Zapytał mnie, co myślę o Milanie Gawrilowiczu, przywódcy serbskiej partii agrarnej i pierwszym jugosłowiańskim ambasadorem w Moskwie. Odpowiedziałem: „To chytrus”.

## 6.

Jakoś tak to w duszy odczuwałem.

Stalin zauważył, jak gdyby sam do siebie: „Tak, są politycy, którzy sądzą, iż chytrłość w polityce rzecz główna — ale na mnie Gawrilowicz wywarł wrażenie głupca”.

Dodałem: „Nie jest to polityk o szerokich horyzontach, chociaż nie sądzę, by można było powiedzieć, że jest głupi”.

Stalin wypytywał, gdzie król Piotr II znalazł sobie żonę. Gdy powiedziałem mu, że wziął sobie grecką księżniczkę, odparł żartobliwie — Jakby to było, Władysława Michajłowiczu, gdybyś ty lub ja poślubił jakąś cudzoziemską księżniczkę? Może by coś dobrego z tego wynikło.

Mołotow zaśmiał się, ale powściągliwie i cicho.

Pod koniec złożyłem Stalinowi nasze dary. Wyglądały teraz szczególnie prymitywnie i nędznie. On jednak bynajmniej nie okazał lekceważenia. Gdy ujrzał chłopskie sandały, wykrzyknął: *Łapti!* — rosyjskie ich określenie. Jeśli chodzi o karabin, odrzucił go i zarygłował, próbował podnieść do góry i zauważył: — Nasz jest lepszy.

Spotkanie trwało około godziny.

Świtało już, gdy opuszczaliśmy Kreml. Towarzyszący nam oficer najwidoczniej zaraził się naszym entuzjazmem. Patrzył na nas radośnie i starał przypodobać się nam każdym słówkiem. Zorza polarna o tej porze roku sięgała aż do Moskwy, wszystko barwiło się fioletem i skrzyło świat nierealny, piękniejszy, niż ten, w którym żyliśmy.

Miałem jednak mieć jeszcze jedno, bardziej znamienne i interesujące spotkanie ze Stalinem. Pamiętam dokładnie, że zdarzyło się to w przeddzień lądowania sprymierzenców w Normandii.

Także i tym razem nikt mnie nie uprzedził. Po prostu powiadomiono mnie, że mam udać się na Kreml. Około dziewiątej wieczorem wszadzono mnie do samochodu i zawieziono na miejsce. Nawet w misji nie wiedział nikt, dokąd jadę.

Zabrano mnie do budynku, w którym Stalin przyjmował nas uprzednio, lecz do innych pokoi. Mołotow szykował się właśnie do wyjścia. Wkładając płaszcz i kapelusz powiadomił mnie, że mamy być na kolacji u Stalina.

Mołotow nie jest bardzo rozmowny. W towarzystwie Stalina, jeśli był w dobrym humorze i wśród ludzi podobnie jak on myślących, kontakt był łatwy i bezpośredni. Poza tym Mołotow był bierny, nawet w prywatnych rozmowach. Tym niemniej, w samochodzie zapytał mnie, jakimi językami władam prócz rosyjskiego. Powiedziałem mu, że mówię po francusku. Potem rozmowa zeszła na siłę i organizację Komunistycznej Partii Jugosławii. Podkreślałem, że wojna zastała partię jugosłowiańską jako partię nielegalną i stosunkowo nieliczną — jakieś dziesięć tysięcy członków, lecz świetnie zorganizowaną. Dodałem: „Jak partia bolszewicka w pierwszej wojnie światowej”.

— Mylicie się! — odparł Mołotow. Pierwsza wojna światowa zastała naszą partię bardzo słabą, organizacyjnie rozbitą, rozproszoną i z niewielką liczbą członków.

Pamiętam — mówił dalej — jak z początkiem wojny przybyłem nielegalnie z Piotrogradu do Moskwy w sprawach partyjnych. Nie miałem gdzie przenocować i musiałem zaryzykować zamieszkanie u siostry Lenina! Mołotow wymienił też imię tej siostry; jeśli dobrze pamiętam, nazywała się Maria Iljiczewna.

Samochód posuwał się w stosunkowo dobrym tempie — około stu kilometrów na godzinę, nie napotykając na żadne przeszkody w drodze. Widocznie policja drogowa poznała wóz i torowała mu drogę. Wydostawszy się z Moskwy, wyjechaliśmy na

szosę wyasfaltowaną zwaną — jak się później dowiedziałem — szosą rządową, ponieważ tylko wozy rządowe mogły jej używać jeszcze długo po wojnie. Czy tak jest i dzisiaj? Wkrótce natknęliśmy się na szlaban. Oficer siedzący obok kierowcy błysnął przez szybę małą oznaką i straż przepuściła nas bez żadnych formalności. Prawe okno było otwarte. Mołotow widząc, że dokuca mi przeciąg, zaczął podnosić szybę. Dopiero wtedy zauważyłem, że szkło jest bardzo grube; zrozumiałem że jedziemy samochodem opancerzonym. Sądzę, że to był Packard, albowiem Tito otrzymał od rządu sowieckiego taki sam w roku 1945.

Na jakieś dziesięć dni przed tą kolacją Niemcy przeprowadzili z nienacka atak na Naczelne Dowództwo Jugosłowiańskiej Armii Wyzwolenia Ludowego w Drwarze. Tito i misje wojskowe musieli uciekać w góry. Przywódcy jugosłowiańscy byli zmuszeni do podjęcia długich męczących marszów, w których traciło się cenny czas, potrzebny na działalność wojskową i polityczną. Zaostrzał się także problem żywności. Sowiecka misja wojskowa informowała o tym wszystkim Moskwę szczegółowo, podczas gdy nasza misja w Moskwie pozostawała w nieustannym kontakcie z odpowiedzialnymi oficerami sowieckimi, doradzając im, jak dostarczyć pomoc wojskom jugosłowiańskim i Nacelnemu Dowództwu. Samoloty sowieckie latały nawet nocą i zrzucały amunicję oraz żywność, co prawda bez wielkiego powodzenia, jako że zasobniki spadały na wielkim zalesionym obszarze, który trzeba było szybko wyewakuować.

W drodze Mołotow chciał poznać moje zdanie o powstającej w związku z tym sytuacji. Jego zainteresowanie było żywe, lecz beznamienne — chodziło mu bardziej o uzyskanie wiernego obrazu.

Przejechaliśmy około trzydziestu kilometrów, skrzyliśmy w lewo na boczną drogę i wkrótce dotarliśmy do małego zagajnika jodłowego. Znowu szlaban, potem krótka jazda i brama. Znaleźliśmy się przed niedużą willą, otoczoną jodłami.

Ledwo stanęliśmy w niewielkim przedsionku, pojawił się Stalin, tym razem w trzewikach i prostej bluzie, zapiętej po szyję, znanej tak dobrze z jego przedwojennych fotografii. W tym stroju wydawał mi się jeszcze niższy, ale też prostszy i całkowicie swobodny. Zaprowadził nas do małej i zdumiewająco pustej pracowni — żadnych książek, żadnych obrazów, same tylko nagie drewniane ściany. Zasiadliśmy wokół małego stołu do pisania i natychmiast zaczął nas wypytywać o wypadki, dotyczące jugosłowiańskiego Nacelnego Dowództwa.

Sam sposób zadawania pytań wykazywał ostry kontrast pomiędzy Stalinem a Mołotowem. U Mołotowa nie tylko jego myśli, ale i proces ich powstawania był nieprzenikniony. Podobnie i jego umysłowość była raczej niezbadana. Stalin natomiast miał temperament żywy, niemal nie znający wytchnienia. Zawsze wypytywał — siebie i innych; i sprzeczał się z sobą i z innymi. Nie powiem, że Mołotow łatwo tracił panowanie nad sobą, albo że Stalin nie umiał się hamować i udawać; miałem później ujrzyć obu w tych rolach. Lecz Mołotow był niemal zawsze taki sam, niemal niezmienny, bez względu na to, o czym była mowa, podczas gdy Stalin zmieniał się zupełnie w swym własnym, komunistycznym środowisku. Churchill scharakteryzował Mołotowa jako typowego nowoczesnego robota. To jest ściśle. Lecz to jest tylko jedna, zewnętrzna jego strona. Stalin był nie mniej chłodnym kalkulatorem. Właśnie jednak dlatego, że miał bardziej namiętny i wszechstronny charakter, tak wyrównany i przekonujący, że zdawało się, iż nigdy nie udaje, lecz zawsze wiernie odgrywa każdą ze swych ról — był on łatwiejszy do przeniknięcia i dawał większe możliwości. Odnosiło się wrażenie, że Mołotow patrzył na wszystko — nawet na komunizm i jego cele ostateczne — jako na coś względnego, coś, czemu nie tyle winien był, ile musiał podporządkować swój własny los. Jak gdyby nie było dlań nic trwałego, jak gdyby istniała tylko przejściowa i niedoskonała rzeczywistość, przedstawiająca się każdego dnia odmiennie, której musiał ofiarować siebie samego i całe swe życie. Dla Stalina również wszystko było przejściowe. Lecz taki był jego pogląd filozoficzny. Za tą niestalością i w jej łonie ukrywały się pewne wielkie i ostateczne ideały — jego ideały, do których mógł się zbliżyć tworząc lub przetrwając rzeczywistość i składających się na nią żywych ludzi.